Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 33.** **Leszno, dnia 13. Lutego 1836.**



Włościanie Litewscy.

Włościanie zachodniéj części Litwy mówią językiem nie tylko niepodobnym do polskiego, ale nawet do żadnego ze słowiańskich dialektów. Są to, tak nazwani Litwini, czyli Zmujdzini, ostatki starożytnego bardzo narodu, dziś na najniższym stopniu oświaty zostający, a których powyższa rycina we właściwym ich stroju wystawia.

Zkąd ten naród pochodzi, trudno wyśledzić, bo gdy nigdy nie miał pisanych dziejów, wtedy go tylko inne narody poznały, gdy wojnę z nim rozpoczęły. Około roku tysiącznego ery chrześciańskiéj, kiedy lud polski wiarę świętą przyjmował, dwa litewskiego szczepu narody, oba jeszcze pogańskie, to jest Lettowie, i właściwi Litwini czyli Zmujdzini, już się byli usadowili ponad brzegami morza Baltyckiego. Pierwsi zajęli dzisiejsze Inflanty i Kurlandyą, drudzy Zmudź i Prussy; bo dawniejsi Prussowie niczem inszem nie byli, tylko istotnymi Litwinami. Tych to Prussów, czyli Borussów, usiłował Święty Wojciech nawrócić, i padł ofiarą swego przedsięwzięcia: w późniejszym czasie uskuteczniły to nawrócenie do wiary Jezusa, ale na sposób Mahometa, ogniem i mieczem, dwa sławne w historyi zakony, to jest Kawalerów Mieczowych i Krzyżaków. Jedni podbili Lettów, drudzy Litwinów Pruskich. — Przeciwnie Zmudźcy Litwini (ci właśnie, których rycina wystawia) najdłużéj w pogaństwie zostali, i są może jednym z ostatnich narodów w Europie, którzy z grubego bałwochwalstwa do chrześciańskich przeszli wyobrażeń. — To nawrócenie za powagą Władysława Jagiełły zdziałane, nie mogło na jeden raz wszystkich dawnych wykorzenić zwyczajów. Nie jeden zatem obrządek pogański, wśród chrześciańskich ustaw pozostał; i do dziś dnia uderzają niekiedy między prostym ludem w Litwie, przestarzałe owych wieków zabytki. Ale kiedy nawet w Mazowszu i w małéj Polsce, choć daleko dawniéj nawróconych, jeszcze tkwią gdzie niegdzie ostatki przedchrześciańskich zabobonów; cóż dziwnego, że Litwa, od czterech tylko wieków wiarą świętą oświecona, gdzie w wielu miejscach stoją jeszcze niezbutwiałe Perkunowskich wieków dęby, że mówię ta Litwa, zachowała jeszcze w swoich tradycyach, zarzekanie wężów, skakanie

przez ogień, częstowanie duchów, i tym podobne obrządki.

Wszelako mimo tych gusłów, do których lud przywykł, i o których sam nie wie, że są ostatkami dawnego pogaństwa; Żmujdzin pobożnym jest i żarliwym katolikiem. Podczas gdy jego pobratymce w Inflantach i Prusiech, za przykładem feudalnych swych panów, na reformę Lutra przeszli, on po dziś dzień został wiernym rzymskiemu kościołowi i wierze Jagiellonów. Nie można od niego wyciągać, aby świetlejsze miał wyobrażenia religijne, kiedy żaden jeszcze rodzaj oświaty dla niego nie zabłysnął, kiedy czytać nie umie, a jedyne xiążki, które z drukarń Wileńskich w żmujdzkim języku wychodzą, są tylko zbiory ewanielii tygodniowych, dla wiejskich proboszczów, aby je parafianom swoim z ambony udzielać mogli. Nie takim jest stan języka litewskiego w Prusiech. Tam duchowieństwo protestanckie, gorliwie się zajęło wykształceniem Litewczyzny. Rozmaite dzieła w tym języku z prass królewieckich wyszły. Nauka czytania dość powszechną się stała między Pruskiemi Litwinami, i często się natrafiają w ich mieszkaniu, to xiążki do nabożeństwa, to nawet pismo święte, za staraniem Towarzystwa Biblijnego w Litewskim wydane języku. Mimo tych wszystkich usiłowań pruski nawet Litwin, na niższym zostaje stopniu oświaty, aniżeli otaczające go, bądź niemieckiego, bądź polskiego języka osady. Dla obeznanego z dziejami, ciekawym jest zaiste widok tych ludzi, wystawujących ostatni już zabytek owych dawnych Prusaków, niegdyś właścicieli kraju aż po Wisłę, a których zakon Teutoński w wielu miejscach ze szczętem wytępiwszy, zapędził na ostatnią krawędź kraju pruskiego. W długim ciągu wojen, które rycerze krzyża przeciw Litwie pogańskiéj wiedli, nie raz to podbici przez nich Litwini, walczyć musieli pod nowych władzców rozkazem, przeciw swym braciom nadniemeńskim.

Jak dziś widzimy język litewski, nie jest on bardzo rozszerzony. Prócz okręgu Gumbińskiego w Prusiech, rozciąga się mowa Litewska na część Województwa Augustowskiego, i na całą Gubernią Wileńską, aż do granic Kurlandyi, gdzie się z pobratymczym Lettyckim językiem styka. Ogólna ilość Litwinów nie dochodzi półtora milliona głów, Lettowie mniéj jeszcze są liczni.

W obyczajach Litwini wiele mają podobieństwa z Rusinami: mieszkania ich, jak tamtych, są bez okien i komina, a zatém są to, jak je nazywać zwykli, kurne chaty, to jest, dymem napełnione. Przemysłu nie znają; pijaństwo jest ich główną zakałą, a licznie zasiedleni między niemi żydzi, utrzymują, dla własnego zysku, ten opłakany właścian pociąg. Jedna tylko pruska Litwa nieco wolniejsza od téj plagi, bo nie masz w niéj wkorzenionego żydostwa. Przyczyna tego odnosi się aż do czasów zakonu Krzyżackiego, albowiem wtenczas pod karą śmierci nie mógł się żyd na Pruskiéj ziemi pokazać. W późniejszym czasie, sprowadzili się wprawdzie żydzi do Pruss, ale już w mniejszéj liczbie.

Włościanin Litewski nie ma przyrodzonéj polskiemu chłopu wesołości. Śpiew jego, a zwłaszcza kobiet litewskich, ma coś smętnego, i nużącego nawet przez ciągłą jednotonność. Przywiązanie Litwina do rodowitego języka przetrzymało wszystkie rządy, pod któremi się znajdował lub znajduje; i czy pod polskiémi prawami, czy pod niemieckiémi, czy pod rossyjskiémi, nie łatwo odwyka od ojców swych mowy. Na każde zagadnienie w obcym języku, zwykł odpowiadać Ne supranti, to jest, nie rozumiem. Radzibyśmy dać czytelnikowi wyobrażenie o litewczyznie, ale na coby się zdało przytoczenie słów, których Polak wcale zrozumieć nie może. Charakterystycznym rysem mowy Litewskiéj są częste zakończenia na as, os, is, eis, przypominające grecki i nawet niekiedy Hiszpański język. Liczbowanie u nich równie, jak u wielu innych ludów, wyraźnie z łacińskiego pochodzi, jak się to na przykład okazuje, w pierwszych zaraz liczbach Unas, Duas, Tercias, Kwartas i t. d. S. P....r.

Prezent.

Powieść gminna.

(Ciąg dalszy.)

Zdarzyło się pod tę porę, iż Chorąży o zaoranie kopca granicznego sąsiadowi, pozwany do Forum Nobilium — wyjechał do miasta — dzień to był czwartkowy — dzień processu.

Sprawa, acz wątpliwa, zręczną wymową Chorążego, tak pomyślny wzięła obrót, iż upadła; owszem powódca na koszta processu skazany został.

In gratiam tak pomyślnego sprawy zakończenia, Chorąży zaprosił pana Sekretarza, i kilku dobrych znajomych do Szmula na lampkę.

Było to jakoś z jesieni: pora dżdżysta i śnieżna. Żydek wynosił butelkę po butelce, próżne odnosił. Już dobrze się zmierzchło. P. Sekretarz nie żegnał fundatora; a temu jak traktującemu nie wypadało brać za czapkę pierwszemu. Ciągnęła się pogadanka o emigrantach francuzkich, którzy w przejeździe do Rossyi noclegiem stanęli byli u Szeflera. *)

Ciągnęła się rozmowa, i rozciągnęła w debatty nad Europą, Ameryką i Azyą. Zadzwonili w ratuszu na dobranoc, a Chorąży kieliszkiem o kieliszek Sekretarza dzwoniąc, zawołał: „kochajmy się.“ Ostatniém tém zdrowiem przywalony, padł na ławę Chorąży, do rana na niéj doleżał, Sekretarza odprowadzono do stancyi.

*) Gospodnik w mieście.

Nazajutrz o poranku, wracał Chorąży do domu. Skręcając z gościńca ku dworowi wedle karczmy, żyd gospodnik, uchylając czapki, do bryczki przybieżał, i zawołał:

„Niechno Wielmożny pan jedzie do dworu, a prędko, dobre rzeczy tam słychać.“

„Cóż to za dobre rzeczy?“

„Niechno Wielmożny pan jedzie, sam na własne oko obaczy ten prezent, te perły.“

„„Jaki prezent? jakie perły?““ zapytał Chorąży zdziwiony — lecz woźnica śmignął batem, a czwórka w chyżym biegu porywając bryczkę, przecięła dyskurs pana z żydem karczmarzem.

Po drodze rozmyśliwał Chorąży, coby to znaczyły te perły, ten prezent; a wołał na woźnicę, by pospieszał.

Ledwie co wjechał na podworze — obskoczyła go czeladź wszystka, przebąkując coś a prezencie, o perłach. Z wrzasku tego, i poplątanéj gadaniny, rozumnego nie mógł wyciągnąć słowa Chorąży. Szedł więc do izby i zastał Anielę prze zwierciadłem stojącą: w ręku sznur pereł miała, raz do szyi to znowu do czoła przykładając je i przymierzając, patrzała w zwierciadło, i uśmiechała się wesoło, jak dziecko, a postrzegłszy wchodzącego, biegła do męża, pokazując mu perły.

Zdziwiony Chorąży oku niewierzył własnemu, wziął je do ręki, liczył jedną perłę po drugiéj i przesuwał po sznurku Nareście zapytał zkąd je dostała, od kogo? i któż ten wielkomyślny szlachetny Dobrodziéj?

„Usiądź mój mężulku“ rzekła żona: „opowiem ci wszystko, ale uprzedzam, żebyś mi wierzył, co mówić będę, bom sama na własne widziała oczy; klucznica niewidziała, ale słyszała: sama mówi, że słyszała.

„Nieinaczéj“ wpadła w słowo przytomna klucznica stara, słyszałam na własne uszy, słyszałam szelest i wrzawę jakąś w nocy, jakby kto kuferek przesuwał po podłodze.“

„„Dobrze, już dobrze““ przerwał Chorąży „wierzę, już wierzę, tylko mówcie, co się stało.“

„Otóż to się stało“ zaczęła mówić żona:

„Jakoś to było po północy, zegar wybił 3 kwandranse na pierwszą, ocknęłam się, niebo się wypogodziło, i miesiąc świecił jasno.“

„„Ależ jako żywo! teraz xiężyc na nowiu““

„A to gwiazdy może tak jasno świeciły: same nadzwyczajności działy się téj nocy. Wierz mi mężulku.“

„Nie inaczéj, i ja z drugiéj izby widziałam, że jasno było w sypialni“ przemówiła klucznica.

„„Otóż ocknęłam się, mówiła daléj żona, i nie spałam, zegar wybił pierwszą. Posłyszałam szelest jakiś pod łożem mojém. Przestraszyłam się, bo niewiedziałam, coby to znaczyło i myślałam że to . . .

„„No! co tam, mniejsza, coś myślała“ przerwał mąż, „powiedz, co to było?““

„Otóż, kiedy myślałam, że to mysz może się tłucze, a to nie mysz, ale człowieczek jakiś malutki, jak ci Liliputowie, co to niedawno czytałam ci z książki, którą mi kanonik pożyczył: taki sam maleńki Liliputek wyjechał na koniu, z pod łóżka mego.“

„„Cóżto pleciesz za baje““ przerwał mąż:

„„Ale mój mężulku kochany, słuchaj jeno daléj“ rzekła żona.

„Nieinaczéj, niech Jegomość słucha, co daléj będzie, rzekła znowu klucznica.“

„„Otóż, na czémże stanęłam: wyjechał Liliputek na koniku małym, wyjechał na sam środek pokoju, zdjął kapelusz z piórkiem, pokłonił mi się pięknie, i przemówił:

„„Prawisz duby, moje serce,““ rzekł mąż.

„„Słuchajże daléj““ rzekła żona.

„Nieinaczéj, niechno Jegomość słucha“ rzekła klucznica.

I Chorąży słuchał daléj, nieprzerywając już opowiadania żony, które w skróconéj umieszczam tu treści: Człowieczek maleńki, wyjechawszy na środek pokoju, zdjął kapelusz, uczynił pokłon i zapytał się pani Chorążyny, azali niedozwoli państwu młodym odprawić wesela w jéj pokoju?

Przestraszona z razu Chorążyna takiém nadzwyczajném zjawiskiem, oczom własnym niewierząc, wzięła to wszystko za senne jakieś widzenie; ale słowa te dobitnie, i wyraźnie wymówione, przekonały ją dostatecznie, że to wszystko na jawie było.

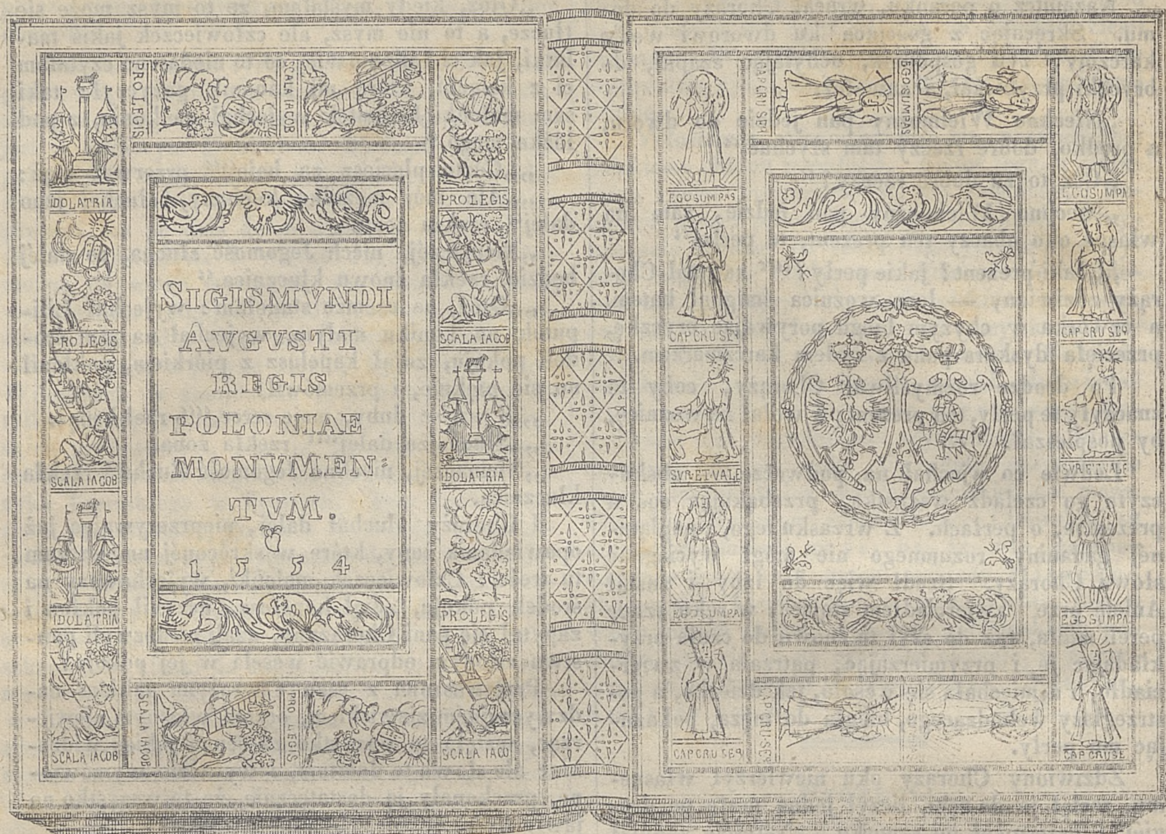
Zakłopotana niewiedziała sama, jaką dać odpowiedź: bez wiedzy, i woli, ledwie to słówko dobrze wymówiła, już ci zaszeleściało znowu coś pod łożem, i razem 4 karetek małych, każda o 5 koniach, wysunęło się z pod kobierca, który spadając z łóżka ku ziemi, osłaniał i zakrywał co się działo pod łóżkiem. Za karetami bryczek kilka, nareście wózek z kapelą i kilku kawalerów konno. Cała ta kalwakata była drobna, maleńka — jednéj miary z tym pierwszym Jegomością, przodem wysłanym. — Karetki i bryczki, zastósowane do tych człowieczków były, domyśli się każdy — kiedy, jak wspominałem, 4 karet i bryczek kilka, pod łóżkiem Chorążyny wygodnie pomieścić się mogły, a wysunąwszy się z pod łoża, po izbie, jakby po obszernym Krakowskim objeżdżali rynku.

(Koniec nastąpi.)

O bibliotekach w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Po Krakowskiéj, pierwsze i najznakomitsze z prywatnych Radziwiłłowska w Nieświżu trzyma miejsce. Dostojna ta rodzina, jak w żadnéj obywatelskiéj usłudze, nikomu nie dała się wyprzedzić, tak i we względzie naukowym zaszczytnie ziomkom przodkowała. Po niéj słusznie dank pierwszeństwa Zygmuntowskiéj się należy, która będąc dziełem sławnego z oświe-



Książka z bibl. Zygmunta Augusta.

cenia w dziejach monarchy, nie tak liczbą, jak dokładnym wyborem i kosztownością exemplarzy z daleko zamożniejszemi o pierwszeństwo walczyć mogła. *)

Nie dał się królewskiéj wspaniałomyślności i wylaniu się na dobro powszechne przewyższyć Wielki Jan Zamojski. Mąż ten wyższy nad wszelkie pochwały, którego imię każde usta, co prawdziwą wielkość cenić umieją, ze czcią wymawiać powinny, nie dość że w ciągłych wojennych trudach, burzliwych obradach, cały prawie swój żywot stargał, jeszcze go i w naukowym uświetnił zawodzie, fundując w Zamościu Uniwersytet, i zakładając przy nim znakomity księgozbiór, który hojnością jego następców dźwigniony, wkrótce najpierwszym zbiorom w kraju co do liczby i wartości wyrównał. Lubo w nim nie znajdowały się tak rzadkie, jak w Krakowskim manuskrypta; jednakże szczyciła się biblioteka Zamojskich rzadkim zbiorem ręko-pismów kronik polskich, posiadała bogaty zapas do prawa Polskiego i Rzymskiego, a co najważniejsza, pochlubić się mogła najdobrańszym wyborem klassyków łacińskich i greckich.

Lecz niestety! nie długo trwała ta świetna w każdym względzie dla kraju epoka. Panowanie pierwszego z Wazów, choć tylu zwycięztwami wsławione, było już nieszczęsną wróżbą przyszłéj niedoli. Spory i kłótnie religijne, sprawą Jezuitow poduszczony szkodliwy zapał, zastąpił miejsce dawnéj ludzkością tchnącéj tolerancyi, i dał fałszywy polityce krajowéj kierunek. Zgubna przewaga zuchwałego możnowładztwa, piekielna hydra niezgód w narodzie, zaczęła bezkarnie podnosić swą głowę. Wszczął się też niezadługo prawie powszechny pożar wojny i zniszczenia:

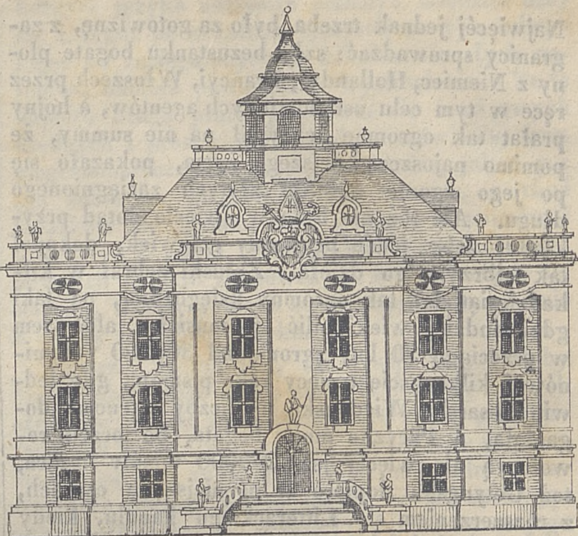
---

*) Szacowny ten księgozbiór po zgaśnieniu nieodżałowanego króla przekazany Jezuitom w Wilnie, późniéj do Uniwersyteckiego Wileńskiego wcielony został. Nadmienić tu wypada, że około 50 dzieł z téj biblioteki, dziwną losów koleją, znajduje się obecnie w Bibliotece Gimnazyalnéj u Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Wszystkie te książki jednako oprawne z przepychem królewskim, w skórkę, na któréj wybijane na około arabeski i ozdoby, wystawiające sceny z pisma Śgo, jako to: Mojżesza na górze Synai, drabinę Jakubową i t. d. Na pierwszéj stronie tytuł książki złotemi literami, w środku herb królewski wyzłacany. Na drugiéj podobneż ozdoby, a w środku złoty napis: Sigismundi Augusti regis monumentum, z rokiem oprawy. Jest to piękny pomnik i troskliwości królewskiéj o zbiory uczone, i sztuki introligatorskiéj; z téj przyczyny daliśmy jego rycinę. Biblioteka Gimnazyum Poznańskiego dostała je ze Szremu, lecz przez jakie one ręce przechodziły, dojść trudno. Tyle tylko wiadomo, bo to poświadcza napis bibliotekarza na niektórych tytułach książek, z roku 1694, że darowane zostały kościołowi parafialnemu Szremskiemu przez Jana Barskiego cochlera Szremskiego i kanonika Krakowskiego.

tu Szwedzi szerzą swoje zabory, a smutne świątyń i przybytków zwaliska, znaczą ślady ich przechodów; tam tatarskie zagony i Kozackie pożogi napełniają trwogą spustoszałe okolice. Wznoszą się naokół straszliwe kłęby dymu zapalonych zamków i kwitnących osad, porznięte mieczem barbarzyńskiéj czerni zgrzybiałe starce, broczą we krwi z niemowlętami nieszczęsne matki. Nakoniec niebo samo odwracając od znękanego tylu klęskami kraju swe oblicze, spuściło nań w swym gniewie najsroższą plagę, to jest morowego powietrza zarazę, która chłonąc tysiące ofiar, wyludniała wsie i miasta, i całe okolice w głuchą zamieniała pustynię.

I możnaż było w tak okropném położeniu myśleć o naukach? możnaż spodziewać się pielęgnowania tych słabych latorośli, które tylko w czasie błogiego pokoju obfite wydają owoce? Jakoż wszystkie prawie księgozbiory w téj niefortunnéj epoce, mocno ucierpiały. Wzięto za Gustawa Adolfa Jezuicką bibliotekę w Rydze, zabrano nieoszacowane zbiory Hozyusza w Warmii. Ponowił te grabieże Karól Gustaw, złupił Poznańską Jezuicką bibliotekę, zabrał Wileńską, a nawet i Krakowskiéj nie przepuścił.

Na domiar nieszczęścia, nastał teraz wiek powszechnego naukowego letargu; duch jakiś zgubnéj obojętności na postęp oświaty i zupełne odwyknienie od naukowych zatrudnień ogarnął nawet zakony, które nie tylko że zapomniawszy o swém najważniejszém przeznaczeniu, w bezczynności pędziły życie, lecz nadto powodowane źle zrozumianą gorliwością, wytępiały z pozostałych drogich szczątków, co tylko tchnęło herezyą. Chlubi się Adam w katalogu na Łyséj Górze, iż należycie przepurgował bibliotekę swoję; tysiące podobnych mu wykreślając miejsca w dziełach, wycinając karty i kalecząc niegodnym sposobem szacowne i kosztowne zabytki starożytności, wytępiając nareście całe dzieła, poczytywali sobie ten czyn barbarzyński, za szczególniejszą przed niebem zasługę. Co dziwniejsza, że znaleźli się na końcu zeszłego wieku usłużni francuzcy emigranci: ci ofiarowawszy nieczynnym wciąż klasztorom swą pomoc w uporządkowaniu zaniedbanych bibliotek, nowy przedsiębrali z niemi daleko sroższy, niż dawniéj czyściec. I tak jeden z nich Gerard Lefebre de Lessu porządkował w Sieciechowie, w Koprzywnicy i na Łyséj Górze biblioteki: wszystko co tylko jego oko lub myśl urazić mogło, gdyby drugi Omar, na pożar płomieni przekazywał. Było pomiędzy innemi w Koprzywnicy 13 exemplarzy rzadkiego nader dzieła Klonowicza Victoria Deorum, które on, jako bałwochwalskie, bez miłosierdzia ogniem wytępił: nareście, żeby sobie skrócić pracy, któréj mu niezrozumiałe polskie ręko-pisma przyczyniały, jako niepotrzebne skazał na karę stosu. W innem miejscu mniéj szczęśliwy jego naśladowca, po-



Biblioteka Załuskich.

pakowawszy wszystkie stare niezrozumiałe szpargały na brykę, zatopił w pobliskim stawie. Lecz mogli sobie oszczędzić pracy ci gorliwi purgatorowie; już wtenczas nikt do powleczonych grubym pyłem księgozbiorów nie zaglądał. Opuszczone książki, popakowane częstokroć w głębokich skrzyniach, robakom dostały się na strawę; tu rzucone na kupę, butwiały w wilgotnym, i na deszczowe słoty wystawionym lamuzie; tu znowu, gdy suszarni przybrakło, lub kuchennych zapasów nie było gdzie pomieścić, dzieliły z niemi szczupłe swe zakąty.

Aż nareście naród po długim letargu, jak gdyby elektryczną uderzony siłą, ocknął się z swego zgubnego uśpienia, i olbrzymim krokiem gonić zaczął tak marnie spędzony czas przeszłości. Panowanie Stanisława Poniatowskiego jest tą świetną odrodzenia się nauk epoką, w któréj nauki i kunszta niejako czarodziejską dotknięte rószczką, na nowo rozkwitać zaczęły. W tym świętym o dobro powszechne zapale, któż Ci wyrównał czcigodny Józefie Załuski? któż więcéj od Ciebie przyniósł krajowi w dani? — Poświęciłeś mu wszystek twój majątek, poświęciłeś całe w mozolnym naukowym trudzie spędzone życie. Szanowny ten biskup, mając znaczne dochody, żył tak oszczędnie, iż często na samym chlebie i serze przestawał, aby tylko przymnożyć funduszu na zakupienie ulubionych książek; myśl ta szlachetna zajmowała całą jego duszę, zwiedzał najodleglejsze zakąty, gdziekolwiek spodziewał się znaleść jaki zasiłek dla swego zbioru; wciskał się pod nizkie strzechy, szperał w zakurzonych i zębem wieków uszkodzonych foliałach, i wydobywał z nich na świat nieocenione klejnoty; a nie oszczędzając kosztów ani mozołów, to prośbą, to pieniężnym datkiem, pozyskiwał rzadkie dzieła, gromadził ze wszystkich krańców Polski niezliczone skarby.

Najwięcéj jednak trzeba było za gotowiznę, z zagranicy sprowadzać; szły bezustanku bogate plony z Niemiec, Hollandyi, Francyi, Włoszech przez ręce w tym celu ustanowionych agentów, a hojny prałat tak ogromne wysypał na nie summy, że pomimo najoszczędniejszego życia, pokazało się po jego zgonie 400000 złotych zaciągnionego długu. Ale też nie było w świecie dotąd przykładu, żeby jeden prywatny człowiek, dokonał tak olbrzymiego dzieła. Załuski zebrał w kilkadziesiąt lat tak ogromny księgozbiór, na jaki gdzie-indziéj wieki silić się musiały; albowiem w przeciągu 30 lat, zgromadził 300000 voluminów i kilkanaście tysięcy ręko-pismów, gdy ledwie Cesarska Wiedeńska téj liczby wtenczas doganiała, a Paryzka mniéj bogata, bo przed rewolucyą nie więcéj jak 200000 tomów licząca, toż Getyngska dopiero w późniejszych czasach, z rozszerzeniem się Litterackiego handlu, kiedy nabywanie książek, po rozproszeniu się licznych Jezuickich bibliotek, znacznie się ułatwiło, dzisiejszego ogromu dopięły. Cały ten nieoszacowany skarb, jedyny cel wszystkich swych starań i zabiegów, powiększony ofiarą rodzonego brata Andrzeja Biskupa Krakowskiego, która mieściła w sobie księgi po królu Janie III. i Pryssa Olszowskiego, złożył Załuski na ołtarzu ojczyzny, przeniosłszy swój księgozbiór do Warszawy, i zamieniwszy go pod imieniem Załuskich w narodową bibliotekę. *) A lubo doznane w lokowaniu jéj nieprzyjemności i stawiane przeszkody, dotkliwie zranione jego serce dolegać musiały, nie dał się jednak tém zrazić mąż szlachetny, i wszelkiego dokładał starania, by swój zakład jak najużyteczniejszym uczynić. Umarł Załuski 1774 roku, a jego biblioteka w roku 1795 do Petersburga przewieziona, na Imperatorską zamienioną została, do której już dawniéj Mitawska i Radziwiłłowska z Nieświża wpłynęły. Cóż więc wielki mężu, miałożby na niczém spełznąć twe wielkie dla dobra powszechnego poświęcenie się? czyż próżne były twe mozoły, czy zgasł marnie ten ogień, który w twojém szlachetném pałał sercu? Nie, jeszcze żaden czyn wielki w odmęcie działań ludzkich nie zginął; stanie on się owszem błyszczącém w ciemnościach światełkiem, do którego błędny wędrownik swe kroki kieruje; staje się mówię palcem historyi, wskazującym tysięcom naśladawców tór prawy do raz zamierzonego celu.

Jakoż znamienity Załuskiego przykład wielu mężów do naśladowania pobudził. Sam król Stanisław Poniatowski, jedno z pierwszych między tymi współzawodnikami trzyma miejsce, a chociaż w jego z 20000 tomów składającéj się książnicy, wiele znajdowało się dzieł królewskiego przepychu, zamykała ona jednak obok nich najszacowniejsze źródła do dziejów krajowych; gdyż uczony Albetrandy, któremu król styr swojéj biblioteki był powierzył, umiał niezmordowaną pracą gromadzić do niéj wyciągi i kopie z rozproszonych po najodleglejszych kończynach Europy dzieł polskich, i z nich to twórcze pióro Naruszewicza kreśliło swoje dzieje narodu.

(Koniec nastąpi.)

*) Gmach ten nie wielki, za Senatorską ulicą, ozdobiony u góry galeryą, w środku wieżyczka; pawilony i inne należące budowle dodają więcéj okazałości. Napis nadedrzwiami następujący: Civium usui perpetuo Zaluscorum fratrum par illustre dedicavit MDCCXLV. Po wywiezieniu xiążek, gmach ten okazały zamieniono na sypanie, a w roku 1807 zgorzał zupełnie, i długi czas jeszcze gruzy jego pokazywano.

O nawożeniu pól kościami w Anglii.

Do licznych ulepszeń, w najnowszych czasach w rólnictwie zaprowadzonych, a które zupełną prawie sprawiły jego reformę, należy także nawożenie pól kościami zmielonemi, których główną korzyścią jest łatwość przewożenia i użycia w miejscach, gdzie z nawozem zwyczajnym dojechać, ani dojść nie można. Przy pierwszém użyciu tego prochu kościowego, obliczono, że 32 angielskich korcy (bushels) wystarczą na angielską morgę, i że w zwyczajnych okolicznościach nie potrzeba będzie użyć większéj ilości. Ziemia raz nawieziona kościami, tak dobrze się uprawia, że teraz zwykle biorą tylko 24, 22, 20 korcy, a w niektórych okolicach nawet 14 lub 16 korcy uważają jako dostateczne. Początkowie obliczano, że 32 korcy skutkują tyle, co 20 łokci sześciennych angielskich zwyczajnego gnoju bydlęcego, do których przewiezienia na szczyty gór byłoby potrzeba 40 mocnych koni, o czém dla ogromu kosztów i pracy, ani myśleć było można. Miejsca więc, gdzie dziś najwyborniejsze zboże rośnie, musiano zostawiać nieuprawione, tak, iż ledwo dla bydła służyły na liche pastwisko. Posiadłość, zupełnie na stromym lubo obszernym wzgórku położona, którąby zwyczajnym sposobem tylko z ogromnym kosztem było można nawozić, została teraz i od kilku lat przez nawóz kościowy równie użyzniona, jak dolina u stóp jéj leżąca.

Wiadomość tę zamieszczamy dla tego, że i w kraju naszym znajdują się okolice, z których pracowity mieszkaniec dla niewdzięczności ziemi, cały rok ledwo placek owsiany, lub kreczany mieć może; gdzie chleb żytni jest przysmakiem, bogatszym tylko służącym, a placek pszenny ledwo znany. Ale u nas nie wiem, czyli kto pomyślał o takowém polepszeniu doli niemałéj liczby mieszkańców, tylko wskazania korzyści i nauki potrzebujących. A jednakże wszędzie prawie postrzegać się dają zbieracze za nic uważanego materyału nawozowego, który nie jednéj rodzinie zabezpiecza byt, ale jest dla nas stracony bez korzyści.

O podwojnym zającu.

W miesiącu Lutym, 1829 roku, w Niemczech strzelec jeden spostrzegł na polowaniu zająca uciekającego. Zmięszał się niezmiernie, widząc, że uciekający zwierz niósł na sobie drugiego. Niezrażony jednak tym widokiem, strzelił, trafił w nogi, czyli jak mówią po myśliwsku w skoki, złamał je, a więc zając upadł. Strzelec, jak zwykle, chciał flintę przechędożyć dla świeżego naboju, stanął, i ku zdobyzcy swojéj z zadowolnieniem spogląda. Lecz, jakież było jego zadziwienie, gdy spostrzegł, że się zając podniósł, i uciekając znowu niósł drugiego zająca na sobie. Strzelec wystrzelił z drugiéj lufy, i zabił go. Niedowierzając, aby mu znowu nie wstał i nie uciekł, bieży czemprędzéj do niego, i spostrzega, że leżą dwa zające plecami do siebie ściśnione. Wziąwszy jednego za nogi, podnosząc go, widział, że były grzbietem do siebie zrosłe. A tak się przekonał, że go oko nie myliło, że połamawszy nogi jednemu, drugi, opłonąwszy z przelęknienia, na zdrowych dobrze uciekał. Te obadwa zające miały życie zupełnie oddzielne, i obadwa się osobno karmić musiały. Oddano go do najbliższego Muzeum zoologicznego, to jest do składu wszystkich osobliwości przyrodzonych.

O téj prawdzie oddzielnego życia dwóch zrosłych zajęcy, możemy się naocznie przekonać na dwóch plecami zrosłych Syamczykach. Ci wszystkie celniejsze kraje dla pokazywania się za pieniądze w Europie objechali, i na końcu roku 1835 jeszcze w Paryżu byli. Ze na tych zrosłych Syamczykach najbieglejsi doktorzy, anatomowie w Paryżu o oddzielném ich życiu się przekonali, w pismach publicznych do końca 1835 roku często o tem donoszono. Prócz dowodów anatomów, sami Syamczycy, umiejąc dobrze po angielsku, o oddzielném swem życiu zapewniali.

J.

X. Kopczyński.

Kopczyński w naszem przekonaniu, należy do małéj liczby uczonych, którzy nie tak podziwienie, jako raczéj nasze zajmują serce. I czemże są zimne oklaski obojętnego tłumu, w porównaniu z prawdziwém uwielbieniem, i synowską prawie miłością, jakiéj ten szanowny nauczyciel, nie tylko od kochającéj go z zapałem młodzieży szkolnéj, lecz od całego doznawał narodu? Kopczyńskiego kochała młodzież, kochał i poważał naród; bo Kopczyński ukochał także młodzież i cały się dla niéj poświęcił. Z takimi to mężami lubimy przestawać, lubimy na ich szlachetne zapatrywać się rysy, dla tego dajemy dziś inny lepiéj wykończony wizerunek Kopczyńskiego, odwołując się do wiadomości o nim w Num 38 umieszczonéj. Z wizerunkiem łączymy krótkie uwagi nad językiem.

Od czasu jak Kopczyński swą Grammatykę napisał, wielkie już w niejakim względzie na korzyść języka nastąpiły zmiany: młodzież uczy się z reguł po szkołach ojczystéj mowy: odwykając od zaciągnionych w dzieciństwie złych nałogów, nabiera pewności w wysłowieniu. Tu to dopiero długą pracą pozbywać się musi owych błędnych i prostackich sposobów mówienia, form niegrammatycznych, prowincyalizmów, jak n. p.: „ja sobie nic nierobię z tych felerów, a choć książków nie czytam, mam względy u pannów i t. d.“ — Z nauki grammatyki nabywa młodzież pewnych dopiero skazówek, do których ciągle się stósując, tłumaczy myśli swoje poprawnie, zgodnie z naturą i duchem języka.

Dobrze, że tak jest, ale tysiąc razy byłoby lepiéj, gdyby tego wcale nie było potrzeby! O jak szczęśliwym jest młodzieniec, który bez grammatycznych reguł, z używania tylko, nie zastanawiając się nad żadném słowem, nad żadną grammatyczną formą, przyrodzonym, iż tak rzekę językiem, tłumaczy się czysto i płynnie: mowa jego jest daleko naturalniejszą, swobodniejszą, piękniejszą. Ale do tego wiele bardzo potrzeba. Trzeba ciągłego baczenia rodziców od pierwszego dzieciństwa na wymawianie, potrzebny koniecznie staranny wybór osób, którym pierwsze, a może najważniejsze wychowanie i prowadzenie dzieci powierzyć chcemy; potrzebném jest z naszéj strony troskliwe przestrzeganie czystości języka, i staranne unikanie wszelkich grammatycznych błędów. Pamiętajmy i o tém, że pieszczenie się w mowie z dziećmi, nazywanie rzeczy innemi wyrazami, obciążając niepotrzebnie pamięć słowami, których potém odwykać muszą, utrudza naukę języka.

Aby więc dzieciom naszym oszczędzić trudnéj pracy prostowania języka swego na regułach grammatycznych, a oraz ułatwić suchą już z siebie naukę grammatyki, starajmy się sami mówić czysto i poprawnie; otaczajmy dzieci dobrze mówiącemi osobami, nie mieszajmy bez potrzeby kilku języków, trzymajmy się jednego, aż się w nim dzieci dobrze ugruntują: a tak podamy im sposobność tłumaczenia się płynnie i poprawnie, a może położymy pierwszy fundament najważniejszéj w szkołach nauki, do któréj wszystkie inne zmierzają, nauki stylu, tak potrzebnéj w przyszłem towarzystkiém pożyciu. — Dla czegoż tak mało mamy piszących? a mniéj jeszcze dobrze piszących? Nie pochodzi to z braku oświaty, bo u nas szkół więcéj, a podobno i lepszych niż gdzie-indziéj; lecz z owego niedbalstwa o czystość języka, z owéj niesłychanéj lekkomyślności i pogardy własnéj mowy, a przenoszenia obcéj, aby tylko płochéj dogodzić modzie. Cóż dziecię zyskuje na tym występnym nałogu? Oto, że obcéj dobrze się nie nauczy, a własnéj zapomni; ztąd owo śmieszne, a raczéj smutne zamieszanie języków, jak przy wieży babilońskiéj, które niestety! dotychczas jeszcze po wielu domach znajdujemy. Posłuchaj tylko chwilkę młodzieńca modnie wychowanego, jak łata obcemi



Kopczyński.

wyrazami, konstrukcyami, jak szpaczkuje i nadstawia francuzczyzną, jak się wywija i wykręca, aby tylko pokryć grubą nieznajomość ojczystéj mowy. Zdaje się, że to cudzoziemiec, lub że na obcéj schowany ziemi, macierzyńskiego języka w późniejszym nauczył się wieku. Cóż dopiero gdy mu przyjdzie na piśmie myśli swoje tłumaczyć? Wtedy to wyda się cała jego chudoba. Mieszać obce wyrazy nie poważy się, aby nie być od publiczności wyśmianym; a tak wyznać musi, że nie umie pisać ojczystym językiem. A więc jakim? podobno żadnym. Taki jest skutek téj nieszczęsnéj mody, która sprawia, że najoświeceńsza, najmożniejsza klassa w narodzie, nie posiadając gruntownéj znajomości ojczystego języka, tak mało do wzrostu nauk i ogólnéj oświaty, nabytemi w obcéj mowie wiadomościami, krajowi przysłużyć się może.

Przysłowia, piosnki gminne i t. p.

A jakeś mi mawiał.

A jakeś mi mawiał,
Kiedyś mnie namawiał;
Mawiałeś mi: mojaś ty
mojaś ty,

A teraz mnie bijesz,
Choć za moje pijesz,
I mówisz mi: szelmaś ty,
szelmaś ty,

Większyś ty jest szelma,
Bo gdzieindziéj latasz
A mnie każesz wołki gnać,
wołki gnać.

Popędzę ja wołki,
Na zielone dółki
I każę je chłopcom paść
chłopcom paść.

Sama będę spała,
Póki będę chciała,
Muszą mi je zawracać.
zawracać.

Zarobił, jak Zabłocki na mydle.
Nie chwytaj psa za ogon, bo cię ukąsi.
Kto przed piekłem mieszka, musi djabła prosić w komotry.
Lepszy wróbel na rożnie, niż indyk w powietrzu.
Kto w piecu sypia, drugiego ożegiem szuka.
Nie kładź nosa w cudze interessa, bo ci go przyskrzynią.
Kto smaruje, ten jedzie.
Pańskie oko konia tuczy.
Trafiła kosa na kamień.
O głodzie, niechce się ani Panu Wojewodzie.
Głupich nie sieją, sami się rodzą.
Kto gra w karty, ma łeb odarty.

Do Kasi.

Albo mnie zabiją
Albo mnie powieszą,
Albo mnie ptaszkowie
Po polu rozniesą.

Albo mnie zabiją
W sztuki porąbają,
Lecz prochy powiedzą,
Że ciebie kochają.

Ach widzi, kochanie
To słońce na niebie,
Jak mi jest niemiłe
Me życie bez ciebie.

Kochałem cię Kasiu,
Jak kwieteczek róży,
Dajże mi też Boże,
Żebym kochał dłużéj.

Latała, gęgała
Siwa gęś nad wodą,
Przyjdzie mi oszaleć
Kasinku za tobą.

Nie szaléj, nie szaléj,
Życie sobie zgubisz, —
Jak ja mam nie szaleć
Kiéj ty innych lubisz.

Już tam zaświtało
Kaj zajaśnieć miało
A moje kochanie
Z wiatrem uleciało.

Miałam ci ja kawalera.

Miałam ci ja kawalera
Z bogatego domu,
Ale mi się niespodobał,
Sama nie wiem czemu;
Wargi chude, wąsy długie
Głowa, jakby cielca
Nie słyszałam, nie widziałam
Takiego wisielca.

Świeci miesiąc.

Świeci miesiąc, świeci,
Gwiazdy pomagają,
Nieszczęśliweć serca
Które się kochają.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)